

Kilka dni później Will odebrał konia ze stadniny i przygotowywał się do dalszej drogi. Pobyt w Deadwood nie przyniósł już żadnych problemów. Nie było w mieście nikogo, kto nie bałby się Diabła i syna szeryfa. Nikt nie śmiał nawet spojrzeć w ich stronę. Harper wszedł do pokoju, by wziąć resztę swoich rzeczy. Charles Willson siedział przy oknie z butelką Whisky.

- Gotowy do drogi, chłopcze? - zapytał Willy.

Smithy powoli odwrócił głowę od okna. Uśmiechnął się szeroko.

- Nie wyjadę z tobą - odparł.

- A co z wielkim planem chronienia mnie przed łowcami nagród w zamian za wielką fortunę? - zapytał drwiąco Will.

- Nie myślałeś chyba, że będę jechał z tobą cały czas? Wyjadę nieco później, dogonię cię. Będę twoim cieniem, staruszk.

Rewolwerowiec opuścił miasto. Przystanął jeszcze raz na wzgórzu. Widział z daleka drewniane zabudowania. Wiedział, że już nigdy tam nie wróci, zostanie tam po nim już tylko sława i legenda.

- Żegnaj Deadwood - powiedział w pustkę. Odpowiedziała mu tylko cisza i lekki wiatr.

Willy Harper nie był tak naprawdę staruszką, chociaż nie był też już młody, tym bardziej biorąc pod uwagę zachodnią średnią życia. Miał trzydzieści siedem lat, ale ciężar jaki nosił na sumieniu dodawał mu kolejnych dwudziestu. Jego podróż nie miała na celu odkupienia win, znalezienia spokoju ani bogatego życia. Nie był pewien czy zdoła przebyć chociaż połowę drogi do El Paso i tak naprawdę miał to gdzieś. Pięćdziesiąt tysięcy za jego głowę... Gdy o tym myślał, śmiał się w duchu. Pięć razy więcej niż za James'a. Kilka lat temu byłby z tego dumny. Teraz wiedział, że jest w niebezpieczeństwie, ale jeśli będzie musiał, obroni się. I znów zabije...

Tym bardziej, że od pewnego czasu podążało za nim pięciu jeźdźców. Południowe słońce grzało nie do wytrzymania. Mężczyźni zblizali się cały czas. Harper zjechał w dół płytkiego wąwozu. Jeźdźcy za nim. Zastanawiał się, czy to ludzie szeryfa z Deadwood. Sam Tedd Willson nigdy więcej z nim nie rozmawiał. Czasem tylko obserwował go z daleka, a jego zastępcy bali się Willy'ego jak ognia. Słynny Diabeł jechał powoli, nie męcząc konia, aż słońce zaczęło zachodzić. Śledzący go mężczyźni trzymali się cały czas blisko, lecz zachowywali odległość bezpieczną. Gdy Harper stanął, jeźdźcy również się zatrzymali. Rewolwerowiec poprowadził konia do małego strumyka, a sam wypił pół manierki wody. Odciążył rumaka z licznych toreb i worków. Cały czas obserwował ludzi, którzy go śledzili. Oparł Winchestera z 1876 roku o skałę. W pobliżu znalazł trochę suchych patyków i rozpałił ogień. Czuł na sobie spojrzenia pięciu par oczu, był jednak w odległości nie pozwalającej na celny strzał nawet ze strzelby czy karabinu. Na wszelki wypadek upewnił się, czy rewolwery są naładowane, wyciągnął też torbę z amunicją. Spokojnie czekał, paląc papierosa, a słońce było już coraz niżej. Po paru chwilach jeden z mężczyzn szedł w stronę jego obozu. Harper wstał i ściągnął płaszcz. Dwa Schofieldy w kaburach wyglądały groźnie. Jak wściekłe psy, które w każdej chwili mogły zerwać się z łańcucha. Mężczyzna podszedł bliżej. Szeroki uśmiech odsłaniał żółte zęby, żujące tytoń. Splunął na bok. Wytarł rękawem ślinę z brody, która nie pamiętała już wyglądu brzytwy.

- Witam! - krzyknął. Z daleka czuć było odór z jego gęby.

- Czego chcesz brudasie? - zapytał Will, trzymając ręce blisko rewolwerów.

Obrzydliwy uśmiech zniknął na chwilę z ust faceta. Odwrócił się w stronę swoich kompanów.

- Jestem Ned - powiedział - Charlie wysłał mnie i chłopaków w ramach ochrony.

Znów odrażająco się uśmiechał, cały czas przeżuując.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Will. Bez mrugnięcia powiek patrzył w oczy Nedowi. Ten splunął

ponownie i znów odwrócił się w stronę reszty swojej bandy, jakby chciał się upewnić, że wciąż tam są. Zawahał się chwilę.

- Charlie nie mógł znaleźć nikogo, kto by się podjął zadania - odparł Ned.

Harper nie wierzył mu ani trochę. Długą chwilę wpatrywał się w brudnego mężczyznę. To sprawiło Neda w zakłopotanie. Nerwowo ruszał zuchwą i co chwila spoglądał w kierunku kumpli.

Na jego czole pojawiły się kropelki potu, chociaż słońce już całkiem zaszło i zrobiło się chłodniej.

- W takim razie ochraniajcie mnie z daleka - powiedział Will.

To chyba odrobinę zaskoczyło Neda, ale mimo wszystko skinął głową i oddalił się. Pewnie był zadowolony z zyskanego zaufania. Nieszuszenie. Willy siedział przy ogniu i obserwował bandę. Czekał na ich następny ruch. Za jakiś czas, gdy było już ciemno, usłyszał strzały za wzniesieniem. To wywołało poruszenie wśród ludzi Neda, lecz wciąż się nie zbliżali. Kolejna seria wystrzałów. Wszystkich było chyba siedem. Chwila ciszy. Ktoś zaczął się zbliżać konno od strony przeciwnej do bandy Neda. Will wycelował Winchestera. Otaczają mnie - pomyślał.

- Spokojnie, to ja - usłyszał znajomy głos. Przy świetle ogniska rozpoznał twarz Smithy'ego. Niedawno ogolona, wyglądała na chłopięcą. Jasna grzywka przykrywała część czoła. Niebieskie oczy świeciły podnieceniem. Z uśmiechem zeskoczył z konia i zaczął ładować rewolwery.

- Tam na górze było jeszcze trzech! - krzyknął wskazując głową na wzniesienie - Tych pięciu ruszyło zaraz za tobą z miasta. Chciałem najpierw dołączyć do ciebie ale tamci mnie zaskoczyli.

Zrobił chwilę przerwy. Wziął kilka głębokich oddechów.

- Nie stanowią już problemu - powiedział - Jeszcze pięciu frajerów.

Harper cały czas był spokojny. Ani trochę nie udzieliło mu się młodzieńcze podniecenie Willsona. Zapowiadała się kolejna strzelanina w jego życiu. Niebo było pełne gwiazd, a księżyc w pełni świecił tak mocno, że skały wydawały się białe. Zaczął się przyjemny nocny chłód. Ned i jego banda kryli się za skałami, starając się podejść bliżej.

- Znasz ich? - zapytał młodego. Ten podrzucił rewolwer prawą ręką i zanim zdążył go złapać, kręcił drugim wokół palca. Bawił się tak przez chwilę.

- Nie są z Deadwood - odparł - Zjawili się zaraz po twoim przyjeździe, pewnie dawno na ciebie polowali, ale chcieli cię dopaść z dala od miasta.

Przez chwilę w ciszy obserwowali zbliżających się mężczyzn, chowających się za co większymi kamieniami.

- Masz kogoś w zasięgu strzału? - pytał Smithy. Will oparł karabin na ramieniu i wymierzył. Odczekał dłuższą chwilę i pociągnął za spust. Odgłos wystrzału odbił się echem po dolinie. Jeden z przeciwników padł trafiony w głowę.

- Zostało czterech - szepnął Willson, patrząc z podziwem na Harpera.

Padło kilka strzałów z drugiej strony. Przeciwnicy mieli przynajmniej dwa karabiny, ale większość oddali z rewolwerów, trafiając jedynie w kamienie, daleko od swojego celu, wartego fortunę.

- Podejdę bliżej - powiedział Smithy wstając. Will złapał go za ramię.

- Nie - odparł - Poczekamy. Oni polują na nas, więc muszą podejść bliżej.

Młody jedynie skinął i wrócił na swoje miejsce za skałą. Po chwili przerwy łowcy nagród znów zaczęli podchodzić, czasami tylko strzelając na oślep. Charles zaczął mierzyć rewolwerem. Wycelował w kapelusz, wystający zza skały. Gdy tylko jego właściciel zaczął się zbliżać, młody rewolwerowiec zacisnął palec na spuście Shofielta.

- Jednego mniej - powiedział z uśmiechem. Trzech pozostałych zdołało jednak podejść bliżej, a dwa strzały Smithy'ego chybiły. Jeden z przeciwników podszedł wystarczająco blisko, by go rozpoznać. Harper dostrzegł Neda. Jego strzały trafiały już w skałę, za którą byli ukryci. W oczach młodego po raz pierwszy pojawiła się odrobina strachu. Will dostrzegł to i wyciągnął rewolwer z kabury. Bez słowa wstał, ominął skałę i zaczął się zbliżać do bandy wroga. Natychmiast rozległy się strzały z naprzeciwka.

Lecz Diabeł z Deadwood kroczył spokojnie w ich kierunku. Jedna z kul ściągnęła mu kapelusz z głowy. Zza skały wychylił się Ned. Willy błyskawicznie w niego wymierzył i oddał trzy strzały, po każdym odciągając kurek nasadą lewej dłoni. Brudas został trafiony. Zdezorientowany całą sytuacją Willson w końcu zdecydował się wyjść. Kroczył za Harperem. Celował dwoma rewolwerami. Oddał po dwa strzały z każdego, odciągając kurki kciukami. Następny przeciwnik padł na ziemię.

- Łatwizna - krzyknął młody. Ostatni przeciwnik zaczął uciekać, waląc na oślep z Remingtona. Will już śledził jego ruch muszką rewolweru. Wtedy, wśród huku strzałów rozległ się jęk Charliego. Lecz Harper nie odwrócił wzroku. Pociągnął za spust ostatni raz. Trafił w plecy, gdy uciekający mężczyzna dobiegał do konia. Schował pistolet, którego lufa zdążyła zagrzać się od wystrzałów. Zanim spojrział w kierunku młodego, był przygotowany na najgorsze.

- Jasna cholera! - jęczał Smithy, trzymając się za nogę. W świetle księżyca jego krew wydawała się czarna. Will klęknął obok, zaczął oglądać ranę.

- Powiedz mi Will - szeptał młody - Czy ja umrę?

Uśmiech pojawił się na twarzy Harpera.

- Nie jęcz panienko, to tylko draśnięcie - powiedział - Kula przeszła przez udo na wylot. Zaraz cię opatrzę. W najgorszym wypadku będziesz kulał kilka miesięcy.

Smithy poczuł ulgę i odetchnął. Już po chwili leżał z opatrzoną nogą, pijąc Whisky z butelki. Patrzył w ciemną dal, nieobecny wzrokiem. Bawił się rewolwerem. Willy smażył nad ogniem kawał mięsa, który wziął ze sobą z Deadwood. O dziwo nie zdążył się jeszcze zepsuć w upale. Obaj długo milczeli, Charlie myślał o wydarzeniach, które dopiero miały miejsce. Will nie myślał o niczym. Wpatrywał się w ogień, był spokojny jakby nic się nie stało. Zdawał sobie tylko sprawę, że znów zabił. Lecz to już nie miało znaczenia...

- Chciałbym usłyszeć o masakrze w Bodie - rzekł Smithy, patrząc niepewnie na Willa.

- To ostatnia rzecz, o jakiej chciałbym mówić - odparł, nie odwracając się od ognia.

Willson przyjął to do wiadomości i więcej nie pytał. Ale po chwili milczenia Will zaczął mówić...

- Trafiłem do Bodie w 1875 roku, wkrótce po tym jak odłączyłem się od bandy Jesse James'a. Jak wszędzie, gdzie było złoto, także tam oprócz poszukiwaczy ściągały wszelkie szumowiny, bandyci, handlarze i dziwki. Były tam burdele, palarnie opium i dziesiątki saloonów. Raj dla kogoś takiego jak ja. Codziennie były strzelaniny, bójki, awantury. Grabarz był chyba najbogatszym mieszkańcem tej dziury. Spędzałem tam czas chlejąc wodę i zabawiając się z dziewczynami. Tak zresztą wyglądała większość mojego życia. Byłem nietykalny, wszyscy spodziewali się, że skoro ja tam jestem, to i Jesse tam przyjedzie. Nie nazywano mnie jeszcze Diabełem, ale moja sława sięgała jeszcze dawniejszych czasów. Będąc w Bodie lubiłem przesiadywać w jednym z saloonów, prowadzonym przez starą paskudną jędzę i jej męża. Było tam kilka dziwek, które szczególnie mi się podobały. Wszędzie brud, pełno było podejrzanych typów, karcianych oszustów i zwykłych pijaczków. Pewnej nocy podszedł do mnie jakiś facet. Ubrany czysto, jakieś modne łachy, kapelusik, biżuteria. Remington w kaburze był częściej czyszczony niż używany. Gość nosił go chyba dla ozdoby. Był na tyle stary, że wąsy prawie całkiem mu posiwiały. Ogólnie mi się nie podobał. Nigdy nie lubiłem tych nadzianych waśniaków.

- Bill Pascow - przedstawił się, a ja zignorowałem go, skupiając się na Tequilli. Whisky w tej spelunie smakowała jak szczyny. Zwróciłem uwagę na Billa, gdy powiedział, że ma dla mnie robotę za pięćset dolarów.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Trzeba zabić indiańską rodzinę, piętnaście mil stąd - mówił - Potrzebna mi jest ich ziemia, a oni za cholere nie chcą sprzedać.

Zastanawiałem się, po co komukolwiek ziemia koło Bodie. Nie budowali tam żadnej kolei, ani nic w tym stylu. Ale skoro gość płacił, to nie widziałem przeszkód. Błagał tylko, żebym zatrzymał naszą umowę w

sekrete. Z góry dał mi połowę należności za zadanie. Umówiliśmy się, gdzie mam przyjść po drugą połowę.

Następnej nocy lało jak z cebra i wiał cholernie silny wiatr. Krople deszczu boleśnie smagały twarz i nawet kapelusz był lichą osłoną. Cieszyłem się, gdy wreszcie dotarłem do celu. Indianie mieszkali w małym domku, zresztą ich kawałek ziemi do dużych nie należał. Dom mógł mieć najwyżej trzy izby. W jednej z nich zapalona była lampa naftowa. Zeskoczyłem z konia i prawie po kolana zanurzyłem się w zimnym błocie. Doszedłem do schodków przed drzwiami i zacząłem sobie wycierać o nie błoto. Nic wtedy nie czułem, nie planowałem, jak mam to zrobić, po prostu tam pojechałem. Zapukałem do drzwi, jak gdyby nigdy nic. Jak przyjaciel w odwiedziny. Jak zapomniany kuzyn. Ręce drżały mi z zimna, ale już były przygotowane do wyciągnięcia rewolwerów. Drzwi otworzyły się powoli, blade światło wychodziło na zewnątrz. Nie pamiętam już, czy najpierw zobaczyłem tę młodą kobietę, czy wyciągnąłem Schofielty. Widziałem jej twarz zaledwie przez ułamek sekundy, zanim wystrzeliłem w nią z dwóch rewolwerów... Ale pamiętam ją do tej pory. I choć nie potrafię jej nawet opisać, to możesz mi wierzyć, że była piękna. Najpiękniejsza, jaką w życiu widziałem. Jak anioł. Po raz pierwszy w życiu żałowałem czegoś, chociaż jeszcze wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Poszedłem w kierunku oświetlonej izby. Po drodze odciągnąłem kurki.

W pokoju ujrzałem młodego Indianina, leżącego w łóżku ze świeżymi ranami na całym ciele. Miał siniaki i rozcięcia po dotkliwym pobiciu. Był półprzytomny. Domyśliłem się, kto zgotował mu taki los. Przyglądałem mu się przez chwilę. Wtedy ktoś z tyłu strzelił do mnie. Na szczęście dostałem tylko w lewe ramię. Jeden rewolwer mi wypadł. Błyskawicznie odwróciłem się i strzeliłem, ale za wysoko, bo mierzył do mnie mały indiański chłopiec... Po jego policzkach ciekły łzy. Ale drugi raz nie chybiłem. Zabiłem go, a potem mężczyznę w łóżku. Wysłałem całą rodzinę do Krainy Wiecznych Łowów...

Smithy, który ani razu nie przerwał i słuchał, wpatrując się w Willa zapytał:

- Wszystko w porządku?

W oczach rewolwerowca były łzy. Chwilę starał się je zatrzymać, ale ściekły mu po twarzy. Patrzył chwilę w pustkę. Schował twarz w dłoniach i zaczął szlochać. Charlie Willson był zaskoczony. Postanowił milczeć. Opowieść Harpera przerażała go. Ukazało mu się prawdziwe oblicze rewolwerowca. Do tej pory miał go za człowieka bez sumienia, bezwzględnego i okrutnego. Nie spodziewał się zobaczyć go płaczącego. Po dłuższej przerwie, Diabeł z Deadwood doszedł do siebie. Pociągnął kilka dużych łyków z butelki, po czym wznowił opowiadanie...

- Miejscowy lekarz całkiem przyzwoicie opatrzył mi ranę. W Bodie na pewno miał sporo roboty i nabrał wprawy. Nazajutrz w południe, pojechałem w wyznaczone przez Pascowa miejsce. Niecałe dwie mile od Bodie, gdzie stała jakaś mała opuszczona chatka. Czekał tam na mnie z sześcioma innymi facetami. Ledwo się zbliżyłem, jakiś skurwiel strzelił do mnie. Spadłem z konia akurat na lewe ramię. Bolało jak cholera, nawet nie zorientowałem się, gdzie mnie trafił. Nie byłem w stanie się podnieść, a oni już się zbliżali. Prawą ręką wyciągnąłem rewolwer. Załatwiłem trzech, reszta zdążyła się cofnąć. Ostatnie naboje nie trafiły nikogo. Próbowałem sięgnąć po następne do kieszeni, ale czułem ten cholerny ból i powoli traciłem przytomność. Ktoś podszedł i strzelił mi trzy razy w pierś. Mam od tego straszne blizny...

Smithy, który w skupieniu słuchał tej historii, parsknął śmiechem.

- No jasne, to jak się to stało, że teraz z tobą rozmawiam?

- Jak chcesz usłyszeć wszystko, to nie przerywaj, młody - odparł Harper. Jego spojrzenie utkwilo w oczach nowego przyjaciela. Było chłodno i obaj przysunęli się do ognia.

- Opowiedz jak z tego wyszedłeś.

- Nie mam pojęcia ile czasu tam leżałem. Może dzień, dwa, tydzień... Gdy się obudziłem, była noc. Jakiś stary Indianin odprawiał nade mną modły, w powietrzu unosił się zapach jakichś ziół. Wszędzie unosił się dym. Czerwonoskóry miał umalowaną twarz, ale widać, że była pokryta zmarszczkami. Jego długie włosy były prawie całkiem siwe. A ja byłem bardzo słaby.

- Whisky - wycharczałem, chociaż tak naprawdę bardziej potrzebowałem wody. W ustach miałem tak sucho, że aż piekły wargi. On nachylił się nade mną i dał mi coś do picia z blaszanego kubka.

- Pij kolego - powiedział. To był ohydny w smaku, gęsty, gorący płyn. Znowu zasnąłem. I budziłem się tak jeszcze kilka razy. Nie wiedziałem ile czasu minęło. Za każdym razem musiałem pić to świństwo i słuchać śpiewów Indianina. Pewnego ranka, gdy się obudziłem, czułem się całkiem nieźle.

- Kim jesteś? - zapytałem starego. Uśmiechnął się do mnie dobrotliwie. Spodziewałem się usłyszeć jakieś indiańskie imię, Rozpędzony Koń czy coś w tym stylu.

- Mów mi po prostu Joe - odparł szczerząc zęby. Nagle poczułem gniew. Na siebie i na niego. Dopiero co wybiłem całą rodzinę podobnych do niego, a on beztrudnie ratuje mi życie. Powinienem już dawno gnść.

- Niedawno zabiłem całą Indiańską rodzinę - powiedziałem. On tylko popatrzył na mnie, lekko zaskoczony. Palił właśnie jakąś fajkę, a dym, który się z niej ulatniał, pachniał tak słodko. Zastanowił się chwilę.

- To nie był dobry uczynek - odparł. Podniosłem się i usiadłem, oparty o kamień. Wszystkie rany miałem obłożone jakąś śmierdzącą maścią.

- Nie zabijesz mnie, Joe? - zapytałem. Patrzył na mnie chwilę i podał mi fajkę, ale nie miałem ochoty nic palić.

- Zabito ostatnio siostrę mojej żony i jej rodzinę - powiedział - Znalazłem mordercę u progu śmierci i pozwoliłem mu żyć. To chyba nie stało się bez przyczyny. Musi w tym być jakiś cel.

Nie wierzyłem własnym uszom. Do tej pory trudno mi w to wszystko uwierzyć. Zacząłem wtedy płakać. On powiedział mi tylko, że skoro dostałem kolejne życie, to mogę z nim zrobić co zechcę, nawet dalej być draniem, ale na pewno uczynię coś dobrego.

- Teraz pójde modlić się za moich bliskich - westchnął i poszedł gdzieś dalej. Słyszałem długo jego śpiewy, a potem spałem jak dziecko.

Nazajutrz wyczyściłem rewolwery i naładowałem je. Mój koń był wypoczęty i gotowy do drogi.

Cały czas obserwował mnie Indianin.

- Będziesz szukał zemsty? - zapytał.

- Tak.

Wsiadłem na konia. Długo patrzyłem w oczy Joe'go. Uwierzyłem w to, że odkupie swoje winy za to, co zrobiłem. Wierzyłem w słowa staruszka.

- Dziękuję - powiedziałem, a on tylko skinął głową. Gdy odjeżdżałem, krzyknął za mną. Nawet się nie odwracałem.

- Powiedz mi swoje imię.

- William Harper.

Willson słuchał opowieści z zapartym tchem. Na usta cisnęły mu się dziesiątki pytań. Nie wiedział, które zadać najpierw. Willy patrzył na młodego i uśmiechał się. Chyba domyślał się, co czuje Smithy i czekał na jakieś pytanie.

- Co było potem? - zaczął - Zabiłeś Pascowa? Co z tym dobrym uczynkiem?

Willy spojrział na niebo. Było pełne gwiazd. Wiedział, że skoro zaczął opowiadać, musi skończyć. Ale nie powie wszystkiego. Są rzeczy, które powinien zachować dla siebie. Cudowne tajemnice jego życia, które nie było tak parszywe, jakby się to mogło wydawać.

- Tak, zabiłem Pascowa. Ale to nie było odkupienie win. To była zemsta. Kierował mną gniew. Coś o

wiele ważniejszego wydarzyło się znacznie później, ale tego nie mogę opowiedzieć - zrobił krótką przerwę, po czym mówił dalej.

- Billy Pascow był znaną osobą w Bodie. Bez trudu dowiedziałem się gdzie mieszka, chociaż do tej pory nie wiem, po co mu była ziemia Indianina. Spodziewałem się spotkać pod jego domem wynajętych oprychów. Ale nie było nikogo. Kopnąłem w jego drzwi tak mocno, że uderzyły w ścianę i pękły na pół. Trzeba było widzieć jego minę, jak mnie zobaczył. Siedział przy kominku i palił fajkę. Złał się w gacie i cały się trząsał. Nie miał przy sobie broni. Koło niego siedziała żona i synek. Nie miałem ochoty czekać na jego błaganie o życie. Strzeliłem mu w twarz. Zabiłem też syna. Kiedyś mógłby szukać zemsty. Kobiętę też zabiłem. Mogła przecież wynająć kogoś, żeby mnie załatwił. To było złe. Czułem się fatalnie. I przestałem wierzyć we wszystko, co mówił Indianin. Nic mnie to nie obchodziło.

Will uśmiechnął się lekko i niepewnie. Obaj siedzieli długo w milczeniu.

- A co w życiu zrobiłeś dobrego? - Smithy wreszcie odważył się na to pytanie.

- Tego jednego nie mogę ci powiedzieć - odparł Harper, po czym przykrył się kocem i zasnął. Smithy zasnął dopiero, gdy słońce wschodziło.

Rano byli w dobrych humorach. Zbierali się do drogi.

- A jakich przestępstw nie popełniłeś, Willy? - pytał Charlie śmiejąc się głośno.

Po krótkim zastanowieniu padła odpowiedź.

- Gwałt i napad na dylizans.

Teraz obaj się śmiali.

- Opowiedz mi jeszcze o Jesse Jamesie i służbie pod Williamem Quantrillem - powiedział młody.

- O tym nie opowiem. Zapytaj samego Jesse'go - odparł Will z powagą.

- Ale to niemożliwe. Jesse został zabity przez tchórza, Howarda Forda.

- Mylisz się, młody, możliwe, że jeszcze go spotkamy.

Zapadła długa cisza i Willson zastanawiał się nad słowami przyjaciela.

- Dokąd teraz jedziemy? - zapytał w końcu.

- Do Cheyenne - powiedział Will, sposepniał na chwilę, myśląc o czymś bardzo dalekim lub bardzo dawnym, po czym powtórzył - do Cheyenne.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Tyler Durden, dodano 21.11.2007 17:44

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.